

PROSCENIUM



CYMERMAN PODSUMOWUJE 700-LECIE LUBLINA W TEATRZE
ROZMOWA Z GRAŻYNĄ LUTOSŁAWSKĄ
CHRÓL O KSIĘDZE DŻUNGLI
DEBIUTANCKI FELIETON MAJEWSKIEJ

PRAWDZIWY POLAK

BARTŁOMIEJ MIERNIK

Aż przystanąłem oniemiały. Prawdziwy kebab u prawdziwego Polaka zagościł na ulicy Grodzkiej. Toć wcześniej karmił na ulicy Chopina, pardon, Szopena – prawdziwie polskiego, a jakże. Spiesząc do naszego wydawcy, miąłem ten przybytek ponoć kulinarnej rozpusty, mając ochotę kiedyś zajrzeć. Chciałbym doprecyzować u zawijającego te rozkosze właściciela – jak dowiedziałem się z internetów, pana Jerzego – jakie cechy świadczą o owej prawdziwości. Polskości – bo mięso zapewne smaży prawdziwe, ostatnio dzika. Czy o prawdziwości Polaka świadczy kolor skóry, wyznanie (Polak – katolik), czy już może wymiary szczęki, czaszki? Przecież nie tak dawno, jak domniemywam, znajomi Prawdziwego Jerzego szli w Marszu Niepodległości, niosąc transparent odwołujący się do czystości rasy.

Wszedłem na profil na fejsie tegoż lokalu – a jak się okazuje, już kilku takich adresów w Lublinie – i oczywiście jest tam wypisany kebab z wieprzowiny, rzecz jasna, ale i, uwaga... lawasz. Światły właściciel wie, w jakie zamorskie krainy sięga prawdziwa tradycja prawdziwego lawaszu i wyluszcza to na filmiku. Otóż z Zakaukazia to chlebek, z Armenii. Znany w Iranie, Gruzji, Azerbejdżanie. Rezydentny kucharz, pardon, prawdziwy kucharz Jerzy od prawdziwego kebabu na Grodzkiej to wszystko wie, czy jednak wie też, ile mamy w języku słów z tamtych regionów, ile zwyczajów, tradycji przeszło do naszej prawdziwej Polski? I jak wygląda jego i prawdziwych klientów DNA? W tradycji ludowej lawasz ma moc niszczenia zła. Oby zniszczył to, co złe na Grodzkiej. Jak najszybciej. Tymczasem lecę na przepyszne specjały na Krakowskie Przedmieście. Może znajdę tam prawdziwe ruskie i fasolkę po bretońsku od prawdziwego Syryjczyka.

rys. Agata Kosowska



KURTYNA W GÓRĘ

Poza granicami w Teatrze Osterwy stworzyłem Studium Dramaturgii Współczesnej, które prowadziłem przez dziesięć lat. Powstało przy teatrze za czasów kierownictwa artystycznego Kazimierza Brauna. Odegraliśmy osiemdziesiąt premier, a grywaliśmy na uczelniach, w Empikach, zawsze przy pełnych salach. Ponieważ cenzura musiała zaakceptować spektakl, wymyśliłem, że będzie to dyskusja panelowa i każdą realizację będzie poprzedzał wykład filologa z UMCS, który opowiadał o autorze. Kilka osób przygotowywało opracowania i informacje o autorach z całego świata, a kto w Polsce Ludowej wydawał ich dzieła? Nikt. A my graliśmy spektakle przy bitych salach. Do dziś pamiętam, że najchłodniejszą lubelską uczelnią była Akademia Medyczna.

W pewnym momencie, w roku 1980 lub 1981, dyrektorem Teatru Osterwy został wybitny polski aktor, Ignacy Gogolewski, słynny Antek z *Chłopów*, ubóstwiany przez panie. Do teatru na gościnne występy zapraszani byli aktorzy z najwyższej półki, m. in. Jan Świdorski, Krzysztof Chamiec i inni. Tu odbyła się premiera *Cyda* Wyspiańskiego w reżyserii Gogolewskiego, a także *Maskarady* Iwaszkiewicza, także w reżyserii dyrektora i wspaniałej scenografii Mariana Kołodzieja. Gdy kurtyna szła w górę, widownia wstawała i biła brawo. Po pięciu latach dyrekcji Gogolewski odszedł, na pożegnanie zrobił *Wesele* Wyspiańskiego, które odbiło się echem w całej Polsce. Była to któraś rocznica istnienia teatru, na premierę zjechali aktorzy, dziennikarze, krytycy teatralni. To było wspaniałe przedstawienie, zrobione bez nowoczesnych po-



CZEGO NIE WIDAĆ

ROMAN KRUCZKOWSKI

szukiwań czy pomysłów, ale zawierające bardzo istotną myśl samego Wyspiańskiego.

Gdy Gogolewski odszedł, przyszedł Andrzej Rozhin, były dyrektor i twórca teatru w „Chatce Żaka”. Był to teatr studencki, znakomity zresztą, zdobywający wiele nagród. Gdy Rozhin został reżyserem w Teatrze Osterwy, ja już nie widziałem możliwości współpracy. Uważam go za reżysera z olbrzymią wizją, który potrafi na scenie operować tłumami i robić wspaniałe widowiska. Ale zupełnie nie interesuje go, o czym to jest. Był taki przypadek, że powiedział: „Słuchaj, ja będę reżyserował spektakl, a ty mi pomóż i reżyseruj aktorów. Popracuj z aktorami, jeżeli możesz, bo ja się na tym nie znam i mnie to nie interesuje”. Wychodził z założenia, że zawodowy aktor wie, jak uprawiać swój zawód, więc niech go uprawia. Mówił na przykład, że nie podoba mu się to, co robi aktor, ale już nie dodawał, jak ma to robić, żeby mu się spodobało. Oczywiście były też inne powody, dla których odszedłem z Teatru Osterwy i już nigdy nie wróciłem na etat. Wróciłem, ale gościnnie. ■

*Wysłuchała, spisała i zredagowała
Karolina Kaliszuk.*

Zespół redakcyjny: Bartłomiej Miernik (redaktor naczelny), Kornelia Kurach, Karolina Kaliszuk, Mateusz Chról, Monika Błaszczak (korekta)

Współpraca: Małgorzata Majewska, Agata Kosowska, Łukasz Witt-Michałowski, Maciej Bielik

Wydawca: Warsztaty Kultury w Lublinie

Kontakt: ul. Grodzka 5 A, 20-112 Lublin

gazetaproszeniem@gmail.com

f prosccenium.lublin

Druk: Baccarat

Nakład: 800

Na okładce zamieszczono zdjęcie ze spektaklu *Legenda o czarnej papie* Poławiaczy Peret Improv Teatr; fot. Magdalena Wójcik



WARSZTATY KULTURY

700-LECIE TEATRALNE

JAROSŁAW CYMERMAN

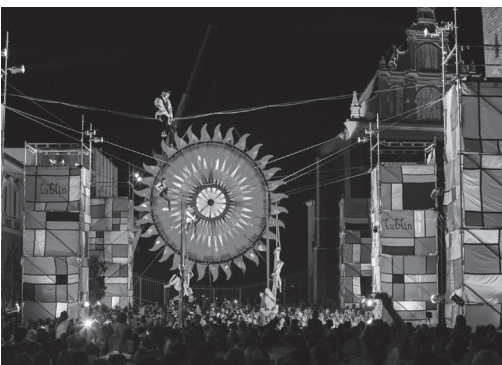


foto: Maciej Fokusz

Teatralny wymiar jubileuszu 700-lecia Lublina przyniósł sporo przedsięwzięć o bardzo zróżnicowanym charakterze. W świętowanie włączyły się w zasadzie wszystkie instytucje teatralne w mieście, a także liczne organizacje i stowarzyszenia.

Nie zabrakło zatem wielkich widowisk – jak jazzrockowa kantata Tomasza Momota *Zakochani w Lublinie* z udziałem gwiazd, *Sen o mieście* według scenariusza i w reżyserii Janusza Opryńskiego, *Taniec na siedmiu wzgórzach* według koncepcji Ryszarda Kalinowskiego z Lubelskiego Teatru Tańca czy musical *Fidelitas* zrealizowany przez Teatr Muzyczny. Poza tym pojawiło się sporo inscenizacji, których akcja osadzona została w Lublinie i dotyczyła spraw z tym miejscem związanych, i w których próbowano ożywić miejskie legendy, wydarzenia i postaci mające mniejszy lub większy wpływ na dzieje miasta.

Teatr im. Juliusza Osterwy pamiętał o jubileuszu 700-lecia w zasadzie przy okazji prawie wszystkich swoich premier przygotowanych w 2017 roku. W Lublinie była zatem osadzona druga część *Kłąt* Artura Pałygi w reżyserii Marcina Libera, do lokalnych historii odwoływała się adaptacja reportaży Pawła Reszki *Diabeł i tabliczka czekolady* zrealizowana przez Kubę Kowalskiego, nad Bystrzycę została przeniesiona akcja *Sposobu na Alcybiadesa* Piotra Ratajczaka. Wreszcie postaci Ester Kreitman (siostry autora *Sztukmistrza z Lublina*, czyli Izaaka Baszewisa Singera) poświęcony został spektakl Pawła Passiniego *Hindele, siostra Sztukmistrza*.

Teatr im. H. Ch. Andersena z myślą o jubileuszu przygotował dwie prapremiery sztuk napisanych przez współczesnych lubelskich autorów. Pierwsza z nich odbyła się jeszcze w czerwcu 2016 roku – na pożegna-

nie siedziby teatru przy ulicy Dominikańskiej na Starym Mieście zagrano inspirowanego szkicami Władysława Panasa *Anioła za lodówką* Grażyny Lutosławskiej. Natomiast w 2017 roku zespół Andersena pokazał *Koziołka Kręciołka* Zbigniewa Dmitrocy, w której tytułowy bohater ucieka z miejskiego herbu i odbywa podróż po kilku miastach Polski, by odkryć, że to, co najlepsze, i tak zostawił w Lublinie.

W roku 700-lecia także Teatr Stary przygotował z tej okazji dwie produkcje – projekt filmowo-muzyczny Bartka Wąsika *Kocham, Lublin, szanuję. Harmonie miasta* oraz koncert kołysanek lubelskiego autora Włodzimierza Wysockiego do muzyki Marka Napiórkowskiego w wykonaniu Natalii Kukulskiej *Szukaj w snach*. Teatr współuczestniczył także w realizacji „melodramy fantastycznej” pt. *Żywi i umarli, czyli bandyci w piekle pióra* Stanisława Krześcińskiego, która powstała w Lublinie w 1853 roku i była wówczas prezentowana na tej samej scenie przy ulicy Jezuickiej „ku wielkiemu zadowoleniu” publiczności. Spektakl wyprodukowała Fundacja Teatritkon, a wyreżyserowała Joanna Lewicka.

Warto jeszcze wspomnieć o dwu spektaklach plenerowych – *Legendzie o czarnej tapie* zagranej przez Poławiaczy Perel na placu Litewskim oraz o *Pogromie w przyszły wtorek* opartym na powieści Marcina Wrońskiego z cyklu o komisarzu Maciejewskim. Pierwszy z tych spektakli w interesujący sposób ożywił najbardziej znaną z lubelskich legend, wprowadzając do niej nutę znaną ze sztuk czeskiego dramaturga Jana Drdy – autora święjących triumfy na scenach i w teatrze telewizji *Igraszek z diabłem* oraz *Zapomnianego diabła*. Z kolei zrealizowana przez Łukasza Wittę-Michałowskiego na dziedzińcu lubelskiego zamku adaptacja

powieści Wrońskiego przypominała lublinianom wojenną i tużpowojenną traumę.

Wspomnieć jeszcze należy o przedsięwzięciach mniejszego kalibru – co nie znaczy, że mniej cennych – jak chociażby jubileuszowe Wieczne Czytania organizowane przez DDK Węglin, w trakcie których mistrzowie sceny polskiej (m. in. Irena Jun, Jan Peszek i Anna Seniuk) czytali dzieła twórców związanych z Lublinem – przypominając poezję i prozę Józefa Czechowicza, awangardzistów lubelskich, Anny Zbąskiej czy Kazimierza Grześkowiaka. W obchody jubileuszu wpisane zostało także przygotowanie *Opery kartoflanej* – widowiska zrobionego przez niepełnosprawnych artystów z Teatrotterapii Lubelskiej.

Powyższe zestawienie (choć z całą pewnością niepełne) może robić wrażenie i świadczy o tym, że teatralny Lublin z okazji jubileuszu bardzo się zmobilizował – przynajmniej jeśli chodzi o liczbę realizacji. Warto zadbąć, by przynajmniej część z nich była grana także w pojubileuszowych latach. Czy czegoś zabrakło? Szkoda, że przy okazji 700-lecia nie powstał spektakl, który mógłby stać się na dobre i trwale wizytówką miasta. Powinna być to opowieść spójna i uniwersalna, a jednocześnie sięgająca do ducha miasta, mogąca stać się kanwą popularnego widowiska (musicalu?) opartego choćby na Singerowskim *Sztukmistrzu z Lublina* czy odwołującego się do twórczości i biografii Józefa Czechowicza. W każdym razie dobrze by było, gdyby po 700 latach istnienia Lublin doczekał się scenicznej historii, którą można wyeksportować w Polskę i w świat. ■

Jarosław Cymerman – teatrolog i literaturoznawca, kierownik Muzeum Literackiego im. Józefa Czechowicza w Lublinie.

foto: Przemysław Bator



MIESZKAJĄ TU KREATYWNI LUDZIE

Z GRAŻYNĄ LUTOSŁAWSKĄ ROZMAWIAJĄ MONIKA BŁASZCZAK I KAROLINA KALISZUK.



for Bolesław Lutosławski

Karolina Kaliszuk: W zeszłym roku świętowaliśmy 700-lecie Lublina. Aktywnie włączyła się pani w obchody tego wydarzenia. Czy może pani podsumować podjęte działania?

Grażyna Lutosławska: Od trzydziestu lat w niedzielny poranek prowadzę w Radiu Lublin program *Nie tylko rozrywkowa niedziela radiowa*. Zapraszam do rozmowy artystów, animatorów kultury i słuchaczy. Przy porannej kawie opowiadają mi o tym, nad czym pracują, co czytali, co zobaczyli przez okno, na czym byli w teatrze. Jubileusz 700-lecia zaistniał więc w moim programie w opowieściach i twórców, i uczestników wydarzeń. Przed laty podjęłam decyzję, że chcę mówić w radiu tylko o tym, co polubiłam, co mi się podoba. Nie krytykuję i nie narzekam. Po prostu omijam w audycji wydarzenia, które nie zajęły mnie jako widza. I nigdy nie brakowało mi tematów do niedzielnych spotkań. A ostatni rok był w Lublinie szczególnie intensywny.

Monika Błaszczak: W takim razie które wydarzenia pani zdaniem najbardziej się udały i są warte tego, by o nich mówić?

G.L.: Staram się nie używać słów „najbardziej”, „najlepszy”, „największy”, ponieważ to od razu wartościuje, sugeruje jakieś kryteria, zgodnie z którymi wiele wydarzeń nie ma szans w rankingu. A ja pamiętam wiele takich, które nie należały do spektakularnych i nie przyciągnęły tysięcy widzów, ale były bardzo ciekawe. Na przykład projekt Agnieszki Dybek, czyli *Kalendarz Czechowicza*. To była strona na Facebooku, na której przez cały rok pojawiały się listy, wspomnienia, opisy związane z konkretnymi dniami z życia autora *Poematu o mieście Lublinie*. Zawsze pisane w pierwszej osobie. Fantastyczny pomysł na opowieść o człowieku! Albo biografia Wandy Chicińskiej, pierwszej lubelskiej fotografki. Ta książka to rezultat intensywnej pracy Małgorzaty Karwickiej, dzięki której w osiemdziesiąt rocznicę śmierci

fotografki mogłyśmy się przyjrzeć w niedzielny poranek makiecie publikacji. Moim gościem była też inżynier Joanna Pawła, współautorka generatora zimnej plazmy do zastosowań biomedycznych – wynalazku nagrodzonego w 2016 roku Srebrnym Medalem na Międzynarodowej Wystawie Wynalazków w Genewie. Joanna to także poetka i malarka, która wydała w zeszłym roku tomik wierszy *Kołysanka dla miasta ogrodów* poświęcony Lublinowi. Porównuje w nim miasto do ogrodu. Jakimi jesteśmy ogrodnikami – to pytanie, które także i ja lubię zadawać i sobie, i słuchaczom. Kolejna publikacja, która trafiła na moją półkę, to *Lublin – miasto poetów* w opracowaniu Bogusława Wróblewskiego. Ukazała się w serii „Biblioteka 700-lecia” kwartalnika „Akcent”. To pierwsza w historii lubelskiego środowiska literackiego antologia kompletna, obejmująca poetów żyjących i nieżyjących.

K.K.: A jeśli chodzi o ciekawe wydarzenia w przestrzeni miasta?

G.L.: Festiwal Rzeźb Małych (Bardzo) wymyślony przez profesora Sławomira Marca. Trwa kilka godzin. W przestrzeni Starego Miasta uczestnicy stawiają swoje rzeźby, nie większe niż dziesięć centymetrów. Jury spaceruje wyznaczonym szlakiem i dyskutuje o tym, co widzi. Można wędrować razem z jurorami, można zabrać głos. Dzieła znikają zaraz po werdykcie, ale nasze spojrzenie na staromiejskie uliczki ma szansę stać się uważniejsze – przecież udało nam się przed chwilą dostrzec coś w rynnie albo szczelinie pod parapetem. Albo kamienica przy Grodzkiej 17. Pomysł Jarosława Koziary, żeby na elewację przenieść kocię wizerunki autorstwa wybitnego lubelskiego grafika, Andrzeja Kota, który mieszkał w sąsiedztwie, wart jest Nobla, gdyby przyznawano go za pomysły plastyczne. Ale myślę, że w tym wypadku nagroda jest cenniejsza: mało jest osób, które nie zwalniają kroku przy tej kamienicy. Uśmiechają się, fotografują. Ozdoby zostały

wykonane w technice sgraffito, co jest nawiązaniem m.in. do wzorów z innych kamienic ze Starego Miasta. Takie dekoracje wykonano w 1954 roku przy okazji renowacji kamienic na dziesięciolecie PRL. W marcu na zaproszenie Jarosława Cymermana przyjechała do Muzeum Czechowicza Magdalena Spasowicz, która ozdabiała wtedy jedną z lubelskich kamieniczek. A wzór wymyśliła zainspirowana wizytą w kaplicy Trójcy Świętej, do której wysłał ją Jan Cybis. Lubię takie nawiązywanie relacji z przestrzenią. Tak właśnie myślał o mieście Władysław Panas. Przypominał, że nie my pierwsi chodzimy po tych ulicach. Że to, co było przed nami, ma wpływ na to, kim jesteśmy. A nasze słowa i gesty zostawią ślad i ktoś też go kiedyś przeczyta. Czytaniem i ocaleniem tego, co było, w sposób doskonały zajmuje się Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, jeden z moich ulubionych adresów. Od wizyty w Bramie zaczynam pokazywanie miasta moim gościom, bo myślę, że nie da się dostrzec tego, co jest, bez umiejętności dostrzegania tego, co było. Brama to wprawdzie miejsce, które nie potrzebuje jubileuszu miasta do mówienia o Lublinie, ale to w tamtym roku odbyły się w niej np. Zjazd Lublinerów, Festiwal Małych Opowieści czy spotkanie poświęcone pamięci Julii Hartwig, poprzedzone spacerem szlakiem ważnych dla poetki miejsc, który poprowadziła Joanna Zętar.

K.K.: Zwróciła pani w tym roku uwagę na jakieś wydarzenia teatralne, muzyczne?

G.L.: Wspaniałe *Wesele lubelskie!* Utwór Aleksandra Kościowa napisany dla Kronos Quartet i Zespołu Międzynarodowej Szkoły Muzyki Tradycyjnej pod dyrekcją Jana Bernada i Moniki Mamińskiej. Projekt miał światową premierę podczas 9. edycji Festiwalu Tradycji i Awangardy Muzycznej KODY. Lubię też spektakl-koncert przygotowany z okazji jubileuszu miasta i pięćdziesięciolecia Teatru Starego, czyli *Kocham, Lublin, szanuję*. To opowieść o Lublinie



for Bolesław Lutosławski

urodzonego tu Bartka Wąsika, który przysłuchuje się miastu, próbuje wejść w jego rytm, a później siada przy fortepianie i zabiera nas w podróż. Taką, jaką lubię najbardziej, czyli nie tylko po terażniejszości. Ważna dla Lublina była też wystawa w Muzeum Lubelskim, której kuratorem był profesor Marcin Lachowski: *Lubelskie życie artystyczne w czasie odwilży – awers i rewers*. Bardzo bym chciała, żeby była początkiem stałej ekspozycji.

M.B.: Niektóre z wydarzeń, które pani wymieniła, nie były obecne w szeroko pojętym mainstreamie.

G.L.: Nie wiem, gdzie przebiega granica między mainstreamem a resztą świata. Nie staram się jej szukać. „Chodzi o takie oko, które słyszy, i o takie ucho, które widzi”, pisał profesor Władysław Panas. Chodzi o to, żeby nie zamykać oczu.

M.B.: Z pewnością wiele z tych rzeczy odbyłoby się, nawet jeśli nie świętowalibyśmy w tym roku 700-lecia. Czy jest pani zdaniem jakaś wymierna korzyść, którą obchody dały Lublinowi?

G.L.: Pojawiła się idea, wokół której mogliśmy się skupić. Poczuć dumę z miasta i z tego, że jesteśmy jego częścią. Wiele wydarzeń miało też szansę powstać, bo jubileusz to pieniądze, których było więcej. Poza tym lubimy przecież świętowanie – dobrze jest czasem wypić lampkę szampana i zjeść kawałek tortu.

M.B.: Jubileusz zjednoczył lublinian?

G.L.: Tak, przypomnieliśmy sobie, a niektórzy zauważyli, że żyjemy w ciekawym miejscu, że mamy się czym pochwalić. Tu ważną rolę odegrały także te imprezy, które były wielkimi, spektakularnymi wydarzeniami.

M.B.: Zapewne przyciągnęły wielu ludzi z zewnątrz.

G.L.: Co stanowi dużą wartość, bo oni wrócili do siebie ze zdjęciami Lublina i wspomnieniami, którymi się dzielą. I tak opowieść o naszym mieście idzie w świat.

K.K.: Sądzi Pani, że obchody 700-lecia miały wpływ na rozwój Lublina i będą jeszcze napędzały kolejne działania?

G.L.: Wydarzenia tego roku były tak ciekawe i intensywne, bo żyjemy w ciekawym i intensywnym mieście. Na pewno nie zamknijemy w szufladzie energii, która wytworzyła się w trakcie roku jubileuszowego. A propos szufladek: zawsze mieliśmy z czego czerpać. Kiedy kilka lat temu staraliśmy się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury, byliśmy poważnym kandydatem, nie tylko dlatego, że aplikacja była dobrze napisana. W Lublinie mieszkają kreatywni, aktywni ludzie. Tu się działa bez względu na konkursy i jubileusze.

M.B.: Czyli patrzy pani w przyszłość lubelskiej kultury optymistycznie.

G.L.: Tak, bardzo!

M.B.: A co z wydarzeniami, które nie wyszły? Co pani zdaniem było niefortunne czy nieudane, w co można by inaczej zainwestować energię czy pieniądze?

G.L.: Nie tylko w moim radiowym programie nie mówię o tym, co się nie udało.

M.B.: Czasami należy chyba wskazać takie buble?

G.L.: Tak. Ale mnie jest na to szkoda czasu. Poza tym nie chcę zwracać uwagi na coś, co jest niewarte uwagi.

M.B.: Tak, ale żeby wiedzieć, co jest na przykład dobrą książką, trzeba chyba najpierw przebrnąć przez dziesiątki słabych.

G.L.: Albo posłuchać czyjejs podpowiedzi. *Nie tylko rozrywkowa niedziela radiowa* to też taki „podpowiednik”. Uważnie słucham gości i słuchaczy. Wiem, że z wzajemnością.

M.B.: Czyli nie chce pani tracić czasu na krytykowanie złych wydarzeń, skoro można wykorzystać go na polecanie dobrych. Ale konstruktywna krytyka jest potrzebna. W takim razie kto ją ma dawać, jeśli nie osoby świadomie uczestniczące w kulturze i mające na jej temat wyrobione zdanie?



Aniół za lodówką, fot. Przemysław Bator

G.L.: Krytyką powinni zajmować się krytycy. Erudyci z poczuciem odpowiedzialności. Wymierający gatunek. Ale ja wierzę w inteligencję widzów, słuchaczy, czytelników. Rozmawiam przecież z nimi w niedzielne poranki. Oni wiedzą, kiedy ktoś ich naciąga.

M.B.: To bardzo optymistyczne podejście.

K.K.: Wracając do jubileuszu – współtworzyła pani też jego wydarzenia.

G.L.: Kilka lat temu, na zamówienie Teatru Andersena, napisałam sztukę pt. *Aniół za lodówką*. Została ona wystawiona i włączona w obchody jubileuszu. To ważny dla mnie tekst, wyrastający ze sposobu, w jaki przyglądam się miastu: łączy przeszłość z terażniejszością. Tak jak most, który buduje inżynier w piosence z moim tekstem. Marek Andrzejewski nagrał ją na swojej najnowszej płycie. *Inżynier w Lublinie* to jeszcze jedna moja opowieść o mieście.

M.B.: Została pani nagrodzona Medalem 700-lecia podczas wydarzenia „Lublin inspiruje kobiety, kobiety inspirują Lublin”. Uważa pani, że miasto wspiera kobiety na co dzień?

G.L.: I kobiety, i mężczyźni. Nie przyglądałam się miastu pod tym kątem. Płeć nie jest też kryterium, które mnie specjalnie zajmuje przy mówieniu o wydarzeniach kulturalnych. Medal 700-lecia uważam za znakomity pomysł. Wręczono go setkom osób, ale każdy z nagrodzonych czuje się wyjątkowo. Dla mnie to symbol tego, że też jestem ważna dla miasta. ■

Grażyna Lutosławska – dziennikarka Radia Lublin i pisarka, autorka sztuk teatralnych i słuchowisk (w tym cyklu pt. *Bazarek*), bajek, które ukazują się w soboty na antenie Radia Lublin, książek dla dzieci, esejów, tekstów piosenek (także do spektakli teatralnych), wykładowczyni i moderatorka wydarzeń kulturalnych. 20 kwietnia o godz. 18.00 w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” odbędzie się promocja jej najnowszej książki *Bajki od rzeczy*.

ECCE HOMO

MATEUSZ CHRÓL



fol. Przemysław Biało

„To człowiek!” – tymi słowami zaczyna się *Księga dżungli*, nowy spektakl Teatru Andersena w reżyserii Jakuba Roszkowskiego. Wprowadzenie w historię inauguruje scena przedstawiająca stado dzikich zwierząt odnajdujące wyłaniającego się z mroku Mowglię (Konrad Biel) – zagubionego chłopca, którego później będą wychowywać wilki.

Następnie rozpoczyna się próba społecznej adaptacji bohatera, który będąc Innym w świecie nieczułej fauny, zyskuje status wyrzutka. Pod opiekę bierze go niedźwiedź Baloo (Bartosz Siwek), który pełni rolę nauczyciela i wychowawcy. Lekcją udzieloną Mowgliemu ma zakończyć się rytuałem polowania, dzięki któremu stanie się on pełnoprawnym członkiem wilczej bandy. Próby wychowania „ludzkiego szczenięcia” nie są proste: nieskory do nauki młody buntownik dołącza do grupy małp, które nie mają żadnych praw, stawiają na swobodę i beztrudną zabawę. W tej pokusie błędnego hedonizmu Mowgli traci na uważności – małpy go porywają, przysparzając kłopotów nie tylko jemu, ale i wilkom, które usiłują go uratować. Opowieść nie miałaby w sobie nurtującej pikanterii, gdyby nie główny antagonistą w postaci Tygrysa (Jacek Dragun) – wyjątkowo antypatycznej bestii, która chce zabić i pożreć bezbronny chłopca. Jednak w toku fabularnym role się odwracają i to Mowgli zyskuje przewagę nad swym oprawcą, czyniąc z niego ofiarę. Początkowo niewinny i nieporadny, odkrywa w sobie małego anarchistrę, poszukując własnego „ja” – i jest skłonny o nie zawalczyć.

Faktem jest, że *Księga dżungli* autorstwa Rudyarda Kiplinga była pierwotnie powieścią dla dzieci. Widać w niej jednak historię, której sens

wybiega poza ramy fabularne i tworzy wymowę zgoła paraboliczną. W rzeczy samej – to parabola pytająca o status człowieka w świecie, jego położenie wobec przyrody i kultury, a także traktująca o poszukiwaniu tożsamości, zarówno indywidualnej, jak i społecznej. W adaptacji Roszkowskiego widzimy zmagania protagonisty ze światem zwierząt, ludzi, a także z samym sobą. Spektakl kończy się monologiem Mowglię, w którym oznajmia, że nikt nie ma prawa mówić mu, kim jest i kim być powinien. Historię wieńczy gorzkie poczucie, że człowiek jest istotą wiecznie niezdefiniowaną, bezkształtną i rozdartą między sobą a Innym. Nie wiem, czy odpowiedź nie jest jednak zbyt prosta, ponieważ ciężko w zmaganiach z codziennością postawić na absolutną wolność osobistą, którą to dyktatorsko proklamuje Mowgli. Wymowa spektaklu jest niebanalna, ale pytanie, na ile apologia indywidualizmu i maksyma „bycia-sobą” nie brzmi dziś jak komunał, który nadaje się... no właśnie – dla dzieci. ■

Teatr im. H. Ch. Andersena

Księga dżungli

Na podstawie powieści Rudyarda Kiplinga

Tłumaczenie, adaptacja, reżyseria: Jakub Roszkowski

Scenografia: Maciej Chojnacki

Premiera: 10 lutego 2018 roku



fol. Maciej Rukasz

A CO, JEŚLI SENS JEST?

LUIZA NOWAK

Brak sensu, Aniołek, Żyrafa i Stołek, teoretycznie kierowany do najmłodszych widzów, jest nie tylko rozrywką dla publiczności w każdym wieku, ale stanowi też cenną lekcję dotyczącą przyjaźni, tolerancji i życzliwości.

Aniołek (Dariusz Jeż) poznaje Żyrafę (Justyna Kazek), gdy ta pechowo przebija głową chmury – aż do zamieszkałego przez aniołki nieba. W wyniku kilku niefortunnych wydarzeń, ale także „boskiego planu”, bohaterowie muszą ruszyć w podróż, której celem jest odnalezienie przez Aniołka sensu i szczęśliwy powrót do domu. Do Aniołka i Żyrafy dołączają Stoń (Anna Dudziak-Klempka) oraz Kameleon (Jan Tużnik), tworząc różnorodną i wesołą grupę przyjaciół. Wszystkiemu zaś przygląda się nierozstający się z bałajką Szeł (Marcin Mrowca). Ich podróż to nie tylko wiele niesamowitych przygód, ale także pokonywanie przeciwności i spotkania, które zawsze stanowią cenną lekcję. Tak jest zarówno podczas spotkań z Nietoperzem i Wężem, jak i ze Staruszką mieszkającą na jednym z górskich szczytów (w tej epizodycznej roli świetny Krzysztof Cybula).

Reżyser spektaklu, Daniel Adamczyk, podczas spotkania z dziennikarzami wspominał, że *Brak sensu...* nawiązuje do filmów przygodowych takich jak *Willow* Rona Howarda. Inspiracji kinem nowej przygody jest w nim jednak więcej. Dzięki tej konwencji spektakl jest lekki i zabawny, ale jednocześnie zawiera w sobie ważny przekaz i ma edukacyjną wartość. Podobnie jak w filmach z tego nurtu, mamy tu grupę niezdarłych bohaterów, którzy dzięki współpracy i życzliwości osiągają wspólny cel. Pokonują wiele niebezpieczeństw, a podróż odmienia ich

KWADRATOWE KOŁO

MATEUSZ CHRÓL



foto: Maciej Podkasz

życie na lepsze. Inspirację klimatem lat 70. i 80. można dostrzec również w scenografii. Ogranicza się ona do... trzepaka, drabiny, kilku ławek i stołka. Trudno więc nie skojarzyć jej z dawnymi podwórkami, na których nieraz miały miejsce „dalekie podróże” i niesamowite przygody. Taka scenografia jest też dobrym dowodem na to, że dekoracje nie muszą być dosłowne i rozbudowane. Szczególnie w spektaklu kierowanym do młodszych widzów element wyobraźni i pewnej niedosłowności jest dodatkowym walorem.

Jednak mimo tego, że *Brak sensu...* to przede wszystkim opowieść dla najmłodszych, starsi, podobnie jak miłośnicy kina nowej przygody, znajdą w nim coś dla siebie. Akcja, humor, muzyka, przygoda – czyli wszystko to, co w przygodowo-familijnych historiach najlepsze. Warto więc wybrać się w podróż w poszukiwaniu sensu i przekonać się, że w prostej historii czasem może kryć się więcej, niż przypuszczamy. ■

Teatr Czytelni Dramatu

Brak sensu, Aniołek, Żyrafa i Stołek

Reżyseria: Daniel Adamczyk

Autor: Marta Guśniowska

Scenografia: Daniel Adamczyk, Celestyna Kostrubiec

Muzyka: Marcin Mrowca

Premiera: 29 grudnia 2017 roku

Kpiny ze sztuki nowoczesnej, tak zwanego *modern art*, stały się już pewną kliszą w kulturze masowej i temat, choć nieco przejeżdżony, jest wciąż żywy. Komediodramat *The Square* Rubena Östlunda, nagrodzony Złotą Palmą w Cannes, uderza w tę materię z gorzką ironią, zahaczającą miejscami o groteskę.

Christian (Claes Bang) – główna figura w tym przedsięwzięciu – jest dyrektorem muzeum sztuki współczesnej. To stanowisko, jak się okaże, przerasta go, zarówno pod względem odpowiedzialności organizacyjnej, jak i moralnej. Żyjąc bez troski w kolorowym świecie późnego kapitalizmu, seksu na jedną noc, migających smartfonów i social mediów, zapomina o powierzonych mu roli społecznej – roli, którą niektórzy nazywają kulturotwórczą. Stając przed zadaniem zorganizowania wystawy traktującej o równych prawach i obowiązkach człowieka, odwołującej się do humanitarnych wartości i ludzkości jako wspólnoty, obnaża własną – rzecz jasna ludzką – hipokryzję. Organizowane przez niego dotychczas projekty były – mówiąc nieco pretensjonalnie – pretensjonalne. Tworzone dla wąskiego grona odbiorców sztuki konceptualnej, będącej w zasadzie malowanym rozmyśleniem nad pojęciami, rolą i statusem dzieła sztuki w przestrzeni społecznej, dzieła takie jak stopy żwiru, nie wymagały nachylania się nad drugim człowiekiem. Wystawa tytułowego *Kwadratu* wszystko komplikuje. A ponieważ sztuka to rynek, rynek to reklama, a reklama to marketing – Christian wraz z zarządem placówki zatrudnia dwóch speców od marketingu. Ich rola przyniesie muzeum publicznie ośmieszenie i niepochlebny opinię.

W międzyczasie niezbyt rozgarnięty bohater zostaje okradziony, zresztą



foto: Magnolia Pictures

w biały dzień. Jednak zamiast zgłosić incydent na policję, postanawia odzyskać skradziony telefon i portfel na własną rękę. Dzięki nadajnikowi GPS w smartfonie namierza zgubę i wysyła anonimowe listy z pogróżkami do wszystkich mieszkańców bloku, w którym się znajduje. Sytuacja kończy się nieprzyjemnie, chociaż i nie tragicznie, reżyser rozwiązuje problemy fabularne z humorem. Film ostatecznie staje się dziełem zaangażowanym, a wykorzystanie konwencji komediowej nie stępi ostrza krytyki, która spada na kulturę współczesną.

Postać Christiana wydaje się być karykaturą mieszkańców współczesnych miast wysokorozwiniętych. Östlund zgrabnie miesza wątki fabularne, dostarczając widzowi rozrywki, ze scenami symbolicznymi, takimi jak performans w wykonaniu Terry'ego Notary'ego – prowokującymi pytania o sens i granice sztuki. Przez co nie popada w przeestetyzowanie, jak wiele współczesnych produkcji art-house'owych. W treści podejmuje problem powierzchownego humanizmu, który wartości takie jak dobro wspólne, opieka czy równość sprowadza do roli towarów, które można sprzedawać za pomocą atrakcyjnych sloganów. Rzecz jasna warto się zastanowić, czy twórca nie popada w sprzeczność i nie próbuje nazbyt moralizować, oraz czy da się w ogóle uprawiać moralizatorstwo, które nie będzie w swojej istocie naiwne. ■

The Square

Dania, 2017

Reżyseria: Ruben Östlund

Scenariusz: Ruben Östlund

Polska premiera: 15 września 2017 roku

PARTYZANTKA

MAŁGORZATA MAJEWSKA



fol. Piotr Przeważnik

POZWÓL ŻYĆ

Ale ona ma aż dwa fakultety! Zna cztery języki obce! No i polski też zna... Jest taka ładna. Nie no! Jest piękna! Popatrz, jak się uśmiecha. Jej lazururowe soczewki śmieją się do nas. Jej pełne usta zachęcają do wystania choćby wirtualnego pocałunku. Jej twarz... Nieskalana. Cera porcelanowa, podkład numer dwa. Brwi nitkowane, muśnięte cieniem firmy, której pewnie i tak nie znacie. Ale ponoć jechała po niego aż do Warszawy, do tego centrum handlowego na Bemowie. Jej figura... Panowie mogą się teraz rozmarzyć... Niektóre panie również. Idealna. Opłacało się obcinać codzienne zapotrzebowanie kaloryczne do 1000. Siłka w centrum miasta i poranne biegi przyniosły rezultaty. Zęby, którymi właśnie gryzie dietetyczny baton, są idealnie białe. Lśniąc. W końcu paski wybielające potrafią zdziałać cuda. Dokładnie tak, jak mówili w reklamie.

Nikt u niej nigdy nie był, bo ponoć szanuje swoją prywatność. Mieszka gdzieś w okolicach Starego Gaju, tak przynajmniej informują instagramowe fotki. Wstaje dość wcześnie, około szóstej, czasem siódmej. To zależy. W poniedziałki, środy i czwartki urządza sobie intensywne biegi o poranku. No kochani, zdziwieni? Biega trasą przez Stary Gaj, tak wskazuje jej sportowe Endomondo. Ostatnio nawet zwiększyła dystans. Pokonuje niemal dziesięć kilometrów. Dacie wiarę? Wszystko w markowym dresie. Takim czekoladowym z ultramarynowymi trzema paskami. Najnowsza kolekcja. Szybki prysznic. Lubi białe ręczniki. Tak jak ja. Śniadanie dietetyczne. Awo, jarmuż, pomidorek, o, i dziś sadzone. Na drugie śniadanie subtelnie wcina wspomniany baton z musli, ale bez laktozy. Biedaczka, niedawno odkryła, że ten organiczny związek chemiczny wpędzał ją do grobu już od bobasa. Kawa na mieście. Na sojowym. Doskonale to rozumiem. Do pracy oczywiście autem, po co iść całe pięć minut, jak można być w jedyne dziesięć i tylko przez kolejne piętnaście szukać miejsca parkingowego. „No tak, a jak, no właśnie?! 5, 10, 15. Zaraz się zaczniesz!”

W weekendy lubi leniuchować pod kocem. Salon jest cały w bieli. Skandynawski dizajn ostatnio w modzie. Fala mebelków

z Ikea zalała lubelskie domy. Białe i pudrowe regaliki zastąpiły peelerowskie solidne mebleścianki. Kocyk też jest biały, kiedyś nawet opowiadała całą historię zakupu tego jednego puszystego skrawka materiału. Szalenie się wówczas wzruszyłam. Na lunch ryba, na parze. Jest wegetarianką, ale przecież taki kręgowiec to nie mięso. Ostatnio obiady jada samotnie, ze słodkim shih tzu u boku. Chyba się pokłóciła z tym przystojnym, wysportowanym blondynem. No i te smutne piosenki. „Mam już dość tych kłamstw... Mam już dość tych okrutnych kłamstw... Nawet nie znasz mnie, a oceniać chcesz... Pozwól mi być tym, kim chcę...” ■

Małgorzata Majewska – podróżniczka, architekt krajobrazu, przez parę lat prowadziła w Lublinie Galerię Jednego Obrazu

O TOKSYNACH

Dzisiaj o działaniach z zakresu performansu. Niechętnie, ale skoro ostatnia strona naszego pisma skłóciła miesiąc temu w niebezpieczne strony – nie sposób inaczej.

W jednym z sezonów *Black Mirror* jest taki odcinek, kiedy matka korzysta z implantu odpowiedzialnego za bezpieczeństwo dziecka, wszczepionego w rdzeń tegoż i skorelowanego z laptopem tej pierwszej. Nowe technologie to nowe możliwości, ale i nowe problemy etyczne. Matka do czasu, kiedy dziecko dorosnie, kontroluje to, co widzieć ono może, lecz nie musi. Potem oderwać się od tej permanentnej kontroli nie ma siły i rzecz cała kończy się tragicznie, bowiem córka wybiera wolność miast toksycznej miłości. Ten spoiler niczego nie psuje, zaś dużo mówi o istocie kontroli. Steven Spielberg w pewnym filmie opowiada o tym, jak gość odpowiada za to, co popełni dopiero w przyszłości. Przypomnę, że według prawa rzymskiego lepiej, gdy stu bandytów lata na wolności, niż jeden niewinny siedzi w pudle.

Tymczasem mariaż Państwa z Kościołem od stuleci powoduje u nas to, że władza, niezależnie czy z prawej, czy z lewej, układać się z nim musi, i że rozmaite koszmarki przy tej okazji na



fol. archiwum autora

PASZTET Z KRYTYKA

ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI

światło dzienne wychodzą. Gdy mowa o uchodźcach – prawica krzyczy lewacom: „bierzcie ich do siebie do domów”, jednak gdy mowa o klauzuli sumienia i aborcji – jeszcze nie usłyszałem, by któryś z prawaków zadeklarował adopcję dziecka z wodogłowiem. Rzecz cała jest nieco bardziej skomplikowana i dotyka absolutnie wszystkich.

Kibicowałem swego czasu Wojciechowi Smarzowskiemu, który kręcąc film *Wołyń*, pochylał się nad pięcioletkiem grającym tam rolę dziecka i starał się według własnych swych słów bezkolejnie przeprowadzić go przez koszmar ciętych kończyn i dantejskich scen. Ten sam reżyser na pokazie przedpremierowym filmu, w którym brałem udział, spokojnym okiem patrzył, jak to samo dziecko z widowni ogląda już zmontowany film w wersji bez znieczulenia. Rodziców dziecka uznałem za pozbawionych mózgu, a dla Smarzowskiego do dziś nie znajduję usprawiedliwienia. Podobnie jak dla dystrybutorów tego filmu, którzy w multipleksie puszczały jego zwiastun na seansie bajek dla dzieci. W *Plazie*, w mieście Lublin.

Wracając jednak do performansu. Fundacja „Życie i Rodzina” skutecznie regularnie ekspozycje pod tytułem *Aborcja zabija*. Pewna mieszkanka Garwolina złożyła zawiadomienie do prokuratury, iż została zgorszona widokiem wyskrobanych dzieci. Zupełnie słusznie. Jednak w zgorszenie osoby dorosłej w tym przypadku niespecjalnie wierzę. Natomiast nie życzę sobie, by aktywiści o współczynniku inteligencji znacznie poniżej średniej krajowej serwowali w przestrzeni publicznej mojemu sześciolletniemu synowi obrazy, przed którymi, na podobieństwo matki z *Black Mirror*, staram się go chronić. I nie dlatego, by na wzór tejsze matki ustrzec go przed prawdą, a dlatego, by pewne doznania spłynęły do jego świadomości w odpowiednim do tego czasie. I żaden Allah, Jezus czy Budda nie staną mi w tym na drodze. Tak mi dopomóż Bóg! ■

Łukasz Witt-Michałowski – reżyser teatralny, założyciel i dyrektor lubelskiej Sceny Prapremier InVitro.